

Kiedy w połowie marca wsiadałem do samolotu, którym z Okęcia leciałem do Toronto, Polska żegnała mnie piękną, słoneczną pogodą. W powietrzu czuło się wiosnę, a temperatura powietrza przypominała o potrzebie rychłego wyciągnięcia z szafy wiosennych ubrań. Kanada natomiast przywitała mnie mroźnym powiewem zimy, jakiego w Polsce nawet w styczniu rzadko doświadczamy, a byłem dopiero w Toronto.

SZLAKIEM ESKIMOSÓW

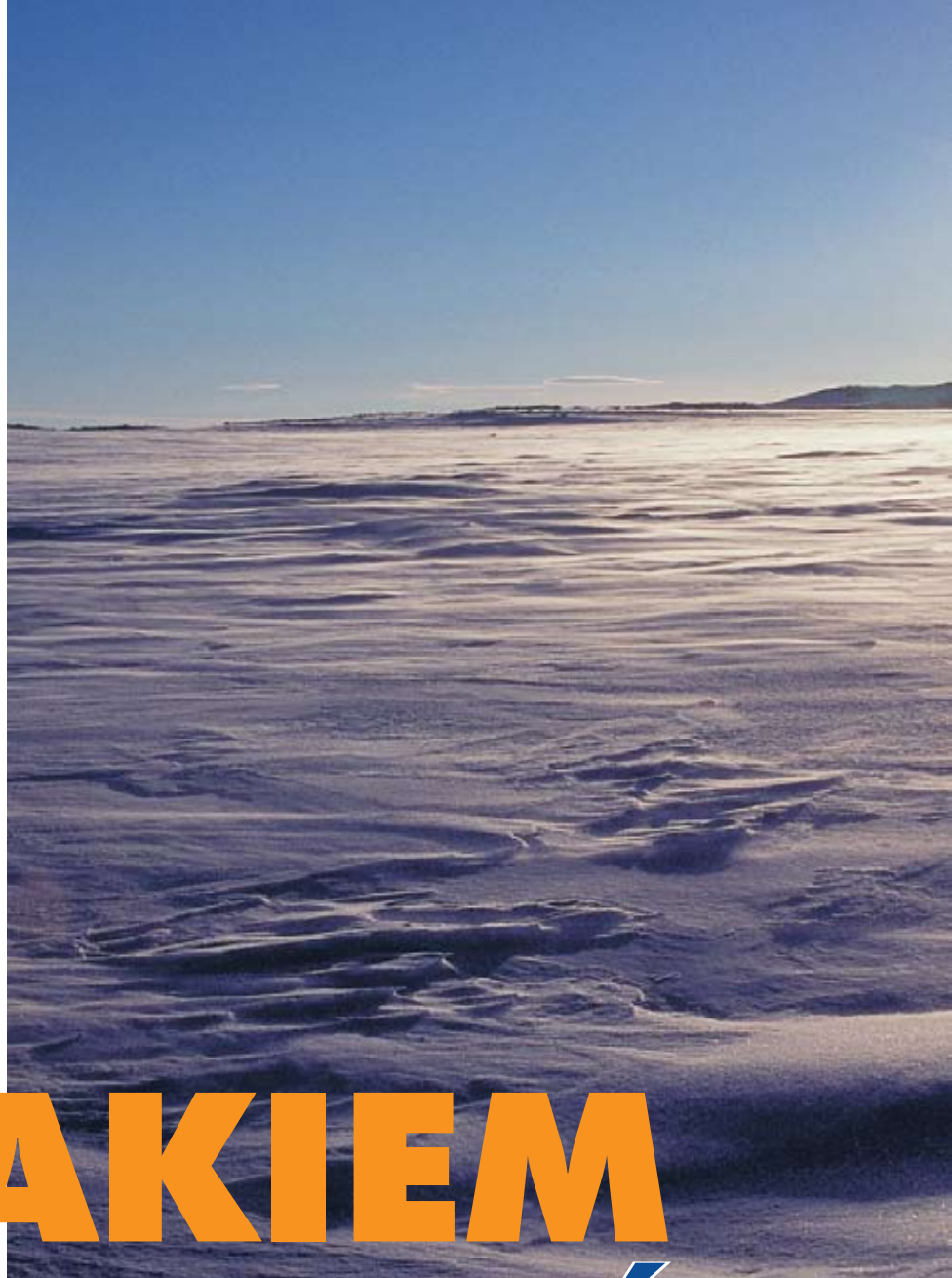
Moim celem było dotarcie do Iqaluit – osady eskimoskiej położonej na Ziemi Baffina, wyspie leżącej po zachodniej stronie Grenlandii, którą pierwszy raz odwiedziłem w 2003 roku. Rząd Kanady, powołując w 1999 roku do istnienia nową prowincję Nunavut, obejmującą swym zasięgiem tereny zamieszkałe przez Eskimosów, jej stolicą uczynił właśnie Iqaluit. To nowoczesne, choć niewielkie miasto liczy niespełna 6200 mieszkańców i jest bramą do bezkresnych obszarów Arktyki Kanadyjskiej. Jednak zanim ponownie stanąłem na ziemi Inuitów – jak sami nazywają siebie Eskimosi, musiałem pokonać tysiące kilometrów dzielących Polskę od tego odległego zakątka Kanady.

Do bram Arktyki

Lot z Warszawy do Toronto trwał niespełna osiem godzin, a wspinała pogoda podczas przelotu pozwoliła mi przyjrzeć się dokładnie sytuacji lodowej panującej w okolicach Grenlandii oraz między Labradorem a Baffin Island. Dzięki temu wiedziałem, jakich warunków mogę się spodziewać w Arktyce. Po wylądowaniu od razu udałem się do odprawy paszportowej, aby jak najszybciej mieć ją za sobą, gdyż obawiałem się, czy moje bagaże nie zagubiły się gdzieś po drodze, tak jak miało to miejsce dwa lata wcześniej. Na szczęście wszystko dotarło, a i sama odprawa odbyła się szybko i bez problemów. W Toronto czekał już na mnie Wojtek

Gręzlikowski, z którym zamierzałem odbyć wyprawę na Baffin Island. Naszym celem było pokonanie używanego od pokoleń przez inuickich myśliwych szlaku z Iqaluit do Pangnirtung. Wiedzie on przez góry oraz zamarznąłą zatokę Camberland Sound, która niestety nie każdego roku zamarza, przez co jej pokonanie i dotarcie do Pangnirtung bywa niemożliwe. Jednak o tym, czy uda się ją przejść czy nie, dowiedzieć mieliśmy się dopiero nad jej brzegiem od myśliwych, dlatego przygotowani byliśmy także na powrót znad zatoki do Iqaluit.

Zaraz po przylocie załadowaliśmy nasz ekwipunek do samochodu i ruszyliśmy autostradą do odległej o 350 kilometrów Ottawy, skąd mieliśmy bez-





pomnił, że w bagażu podręcznym miał butelkę żubrówki, a w związku z prohibicją panującą na terenie Nunavut nie można jej było zabrać ze sobą. Musieliśmy ją zostawić, przez co jego urodziny obchodziliśmy na Baffin Island bezprocentowo.

Lot do Iqaluit trwał ponad dwie godziny. Zaraz po przylocie udałem się do sklepu kupić paliwo do kucharek oraz suszoną wołowinę. Wojtek został na lotnisku pilnować bagaży, ponieważ nie było tam przechowalni, a zostawienie ich bez opieki groziło, że zostaną potraktowane jako „bomby” podrzuczone przez terrorystów. Wracając ze sklepu, zaszedłem do biura zarządu domów, aby spróbować załatwić na cztery tygodnie miejsce, w którym mogliśmy zostawić niepotrzebne podczas wyprawy rzeczy (torby, pokrowce na narty, ubrania, w których przylecieliśmy itp.). Udało mi się przekonać do tego pomysłu jedną z pracownic, która za 40 dolarów zgodziła się przechować nasz zbędny bagaż. Po powrocie na lotnisko, od razu zabraliśmy się z Wojtkiem za pakowanie sań i zmianę ubrań na specjalnie przygotowane do wyprawy.

Rzeczy niepotrzebne zapakowaliśmy do dwóch toreb, które zaniósłem do dziewczyny z biura zarządu domów. Pół godziny później, około piętnastej, ruszyliśmy z lotniska w kierunku Sylvia Grinnell River, gdzie spędziliśmy pierw-

szą noc. Pogoda była ładna a temperatura wynosiła niespełna -15 stopni Celsjusza. Po trzech godzinach marszu w zupełnych ciemnościach dotarliśmy do niewielkiej chaty, którą znalazłem z mojej wcześniejszej wyprawy na Baffin Island. W połowie marca słońce w tej części Arktyki zachodzi przed osiemnastą, a ponieważ było później, musieliśmy ograniczyć się tylko do przygotowania kolacji, po której od razu poszliśmy spać.

Drugiego dnia

zaraz po przebudzeniu, kiedy gotowaliśmy wodę na śniadanie i herbatę do termosu, zabraliśmy się za ostateczne przejście sprzętu zapakowanego na saniach i przygotowaliśmy Wojtka namiot do szybkiego rozkładania. Polegało to na sklejeniu taśmą miejsc łączenia rurek w masztach, poza środkowym, dzięki czemu maszt składał się dokład-

Iqaluit – osada eskimoska na wyspie po zachodniej stronie Grenlandii - to nowoczesne, choć niewielkie miasto liczące niespełna 6200 mieszkańców, jest bramą do bezkresnych obszarów Arktyki Kanadyjskiej.

nie w połowie. Maszty umieściliśmy na stałe w namiocie i podczas zwijania nie wyciągaliśmy ich, a jedynie składaliśmy w połowie, zwiżając później wokół nich namiot i tak zapakowany umieszczaliśmy na saniach. Podczas rozbijania obozu wystarczyło

tylko złączyć w połowie maszty, napiąć je i już można było stawiać namiot. Oszczędzało to czas i ułatwiało rozstawianie namiotu, szczególnie podczas huraganowego wiatru. Rozdzieliliśmy także po równo ciężar. Mnie przypadło ▶

część 1.

pośredni lot do Iqaluit. Do Ottawy dotarliśmy po północy. Mieliśmy przeszło godzinę na przepakowanie bagaży i przejście całego sprzętu przed ostatnim etapem podróży do bram Arktyki Kanadyjskiej. Nasze bagaże, a w szczególności sanie, wzbudzały duże zainteresowanie. Podczas odprawy na lot do Iqaluit okazało się, że Wojtka sanie są nieco za duże a ich ciężar przekracza limit 100 funtów. Na szczęście waga służąca do ważenia bagaży pokazywała wartości w kilogramach, a Pani, która ją obsługiwała nie potrafiła przeliczyć tego na funty, dzięki czemu udało nam się ją przekonać, że sanie nie ważą więcej niż 100 funtów. Po odprawie bagażowej udaliśmy się do odprawy paszportowej gdzie spotkał nas niemiła niespodzianka. Wojtek za-



Zejscie z płaskowyżu. Prowadzi Wojtek

dotatkowo całe paliwo oraz broń. Około godziny dziesiątej byliśmy gotowi do wymarszu. Przez cały dzień przebijaliśmy się przez góry, aby dotrzeć do szlaku, który prowadził z Iqaluit do Pangnirtung. Przeprowa była dość ciężka, gdyż na początku drogi nasze sanie ważyły przeszło 80 kilogramów. Nie udało się przed zmierzchem dotrzeć do szlaku. Namioty rozbiliśmy u podnóża góry, na szczycie której znajdowały się anteny telekomunikacyjne, kilkanaście kilometrów od miasta. Na kolację zjedliśmy kuskus z sosem pomidorowym oraz suszoną wołowiną, choć do wyboru mieliśmy jeszcze puree, a także zupy chińskie zakupione w Kanadzie. Na bezchmurnym, rozgwieżdżonym niebie pojawiła się żółta zorza polarna, która towarzyszyła nam jeszcze przez kolejne trzy noce.

Następnego dnia, aby wyruszyć na trasę zgodnie z planem, wstaliśmy już o piątej. Zagotowanie wody na herbatę do termosu oraz na śniadanie, które składało się z musli, zajmowało nam niemal godzinę. Dodatkowo pół godziny poświęciliśmy na zjedzenie śniadania. Zwinięcie namiotu i zapakowanie sań to kolejne pół godziny. Jednak w miarę upływu dni udało się czas składania obozu skrócić do niespełna półtorej godziny. Zgodnie z zamierzeniem o siódmej byliśmy już w drodze. Pogoda była bardzo ładna, a temperatura nie spadała poniżej -10 stopni Celsjusza. Przed południem dotarliśmy w końcu do szlaku, który jest uczęszczany przez myśliwych podróżujących na skuterach, dzięki czemu znaczą go nie tylko tyczki i lnukszuki, czyli kamienie ułożone jedne na drugich, ale także dobrze widoczne ślady skuterów.



Tablica witająca turystów w Nunavut ustawiona przy lotnisku w Iqaluit

Początkowo szliśmy doliną rzeki, która doprowadziła nas do jeziora. Przy brzegu stała niewielka chatka, która służyła rybakom za schronienie. Zatrzymaliśmy się na obiad złożony z dwóch czekolad i jednej chałwy. Po półgodzinnym odpoczynku ruszyliśmy dalej przez zamrznięte jezioro.

Przechodząc przez kolejną dolinę, mineliśmy drogowskaz wskazujący Iqaluit, byliśmy więc pewni, że podążamy dobrym szlakiem. Niedaleko drogowskazu minął nas Eskimos na skuterze, lecz się nie zatrzymał. Spotykaliśmy go ponownie kilka godzin później, gdy wraz z innymi Eskimosami wracał z polowania na karibu.

W czwartym dniu wyprawy

pogoda nadal była dobra. Doliny, które przemierzaliśmy, były szerokie, a szlak co kilka kilometrów znakowany tyczką. W jednej z dolin znaleźliśmy kruką, świeżo zastrzelonego, prawdopodobnie przez Eskimosa, którego spotka-

liśmy poprzedniego wieczora. Dla mnie nie był to zbyt szczęśliwy dzień, gdyż zgubiłem na którymś z postojów opaskę na głowę, której potem bardzo mi brakowało. Wieczorem zaczęliśmy podchodzenie pod górę, jednak nie udało się nam przed zmrokiem dotrzeć do szczytu, dlatego też obóz rozbiliśmy na stoku. Zaczął wiać silny wiatr, a temperatura spadła poniżej -20 stopni Celsjusza.

Następnego dnia temperatura nieznacznie się podniosła, choć wiatr nadal wiał. Po drodze spotykaliśmy kolejnych Eskimosów, którzy udawali się na polowanie, oraz pierwszy raz spostrzegłem ślady karibu. Wieczorem, kiedy dochodziliśmy do chaty myśliwskiej, w której zamierzaliśmy spędzić piąty nocleg na Baffin Island, zatrzymali się przy nas powracający z polowania Eskimosi. Mieli kilka sztuk karibu i skórę z wilka. Po krótkiej rozmowie ruszyliśmy dalej i zanim zapadł zmrok, leżeliśmy już w śpiworach po obfitej kolacji w chacie myśliwskiej. Nieopodal niej stały dwa porzucone skutery. Jak się potem dowiedzieliśmy od Eskimosów, skutery często się psują, a naprawienie ich w niskiej temperaturze jest niemal niemożliwe. Eskimosi podróżują przeważnie, w co najmniej dwa skutery, aby w razie awarii jednego przesiąść na drugi sprawny, pozostawiając uszkodzony na szlaku. Dodatkowo każdy z myśliwych ma radio UKF i przed wyruszeniem w trasę powiadamia wszystkich o swoim wyjeździe. Jeśli po drodze zepsuje mu się skuter, a jedzie sam, może przez radio wezwać pomocy. Takie pozostawione w tundrze skutery czasem są ściągane przez właścicieli, ale jak zaobserwowaliśmy, przemierzając trasę naszej wyprawy, dzieje się to jednak rzadko.



Dolina polodowcowa prowadząca ku zatoce Camberland Sound



Obóz myśliwych niedaleko Camberland Sound

Szóstego dnia marszu

temperatura spadła znacznie poniżej -25 stopni. Po drodze minęliśmy kolejne ślady karibu, a przechodząc przez rzekę McKeen River napotykalimy kolejny porzucony skuter oraz ślady wilków. Pod wieczór zaczął wiać bardzo silny wiatr, a temperatura spadła gwałtownie do około -50 stopni Celsjusza. Nie udało się nam przed zapadnięciem zmroku zejść z góry, więc ponownie rozbiliśmy obóz na zboczach.

Następnego dnia nadal wiał silny wiatr, a temperatura nie podniosła się powyżej -30 . Zaczęliśmy dość mocno odczuwać przenikliwie zimno. Założyliśmy niemal wszystkie ubrania, jakie mieliśmy z sobą. Poranek upłynął nam na przejściu przez zamrożone jezioro. Na drugim brzegu napotkaliśmy kolejną chatę dla rybaków. Ponieważ było dopiero koło południa, nie zatrzymaliśmy się, gdyż czekała nas jeszcze wspinaczka na płaskowyż. Późnym popołudniem dotarliśmy na płaskowyż, gdzie naszym oczom ukazał się ustawiony (utworzony z kamieni) Inukshuk, wskazujący drogę do Pangnirtung. Wzmógł się wiatr, a temperatura ponownie spadła do -50 . Założyłem na ręce łapawice, a na głowę uszanke i kaptur. Mimo to czułem, jak odmrażały się policzki i nos. Przed wieczorem spotykaliśmy Eskimosa – Jony'ego, strażnika przyrody, którego pierwszy raz widzieliśmy trzeciego dnia marszu. Wiózł paliwo do jednej z chat myśliwskich. Był zaskoczony, że nie byliśmy odmrożeni i nadal szliśmy. Kiedy spotkał nas pierwszy raz, w ogóle nie wierzył, że dojrzymy tak daleko. Był pewien, że wcześniej zawrócimy, albo wręcz zamrozimy – tak jak miesiąc wcześniej Eskimos,

któremu zepsuł się na płaskowyżu skuter. Wieczorem, jedząc kolację w namiocie, widzieliśmy Jony'ego, kiedy wracał do domu. Przed pójściem spać zabrałem się jeszcze za naprawienie szwu od łapawic, który spruł się podczas marszu.

Rankiem wiatr ustał, choć temperatura nadal trzymała się w granicach -30 stopni. W trakcie marszu spotykaliśmy jadących na polowanie Eskimosów – Pola i Sima. Pierwsze pytania, jakie nam zadali, to: czy mamy co jeść, czy mamy zapas paliwa do kucharek i czy wszystko jest w porządku. Te pytania słyszeliśmy od wszystkich spotykanych Eskimosów. Sim wiózł na saniach świeżo upolowane karibu i zaproponował nam kawałek mięsa. Niestety, sanie mieliśmy pełne, więc nie chcieliśmy ich dodatkowo obciążać. Umówiliśmy się, że jak dojrzymy nad Camberland Sound, odwiedzimy go i tam zjemy kawałek karibu. Przez cały dzień mijaliśmy wiele śladów karibu i wilków. Widać, że na płaskowyżu żyje ich całkiem sporo. Wieczorem podczas rozkładania namiotu spostrzegłem, że rozdarł się tropik. Na szczęście dziura była niewielka, więc postanowiłem ją od razu zacerować. Operowanie igłą i nicią w temperaturze -30 stopni, gołymi rękoma, nie jest wcale łatwe, ale udało mi się w końcu zaszyć dziurę i rozstawić namiot. Przed snem zreperowałem jeszcze termos, robiąc nową uszczelkę z kawałka gumy, gdyż oryginalna silikonowa nie wytrzymała niskich temperatur.

Następny, dziewiąty dzień marszu upłynął nam bardzo spokojnie. Wiatr nie był mocny, a temperatura podniosła się do -20 . Powoli zaczęliśmy schodzić w dół dolinami rzek. Pod wieczór dotarliśmy do zamrożonego jeziora. Trzy godziny później udało się nam osiągnąć drugi brzeg, gdzie natknęliśmy się na chatę myśliwską, wokół której kręciło się pięć reniferów. Zatrzymaliśmy się tu na noc. W nocy temperatura ponownie

Przed wieczorem spotkaliśmy Eskimosa Jony'ego, strażnika przyrody. Był zaskoczony, że nie byliśmy odmrożeni i nadal szliśmy. Nie wierzył, że dojrzymy tak daleko.

spadła poniżej -30 stopni. Rankiem udało się nam szybciej spakować i wcześniej niż zwykle ruszyć w drogę. Mimo niskich temperatur szło się całkiem nieźle. Świeciło słońce, więc wyciągnęliśmy na sanie śpiwory,

aby trochę przeschły, gdyż po 10 dniach wyprawy były już dość mocno zalodzone. Koło południa zatrzymaliśmy się w niewielkiej dolinie na odpoczynek. Postanowiliśmy przetestować telefon satelitarny, ale niestety okazało się, że pod wpływem mrozu baterie się całkiem wyczerpały i telefon nie działa. Wojtek wyciągnął panel słoneczny i podłączył do niego baterie. Po południu dotarliśmy do miejsca, gdzie szlak dość ostro skręcał na wschód i musieliśmy przebić się do następnej doliny. Na szczęście trasa była dobrze oznakowana przez Inukshuki. Wieczorem temperatura spadła poniżej -35 stopni. Obóz rozbiliśmy już po zachodzie słońca w dolinie otoczonej wysokimi zboczami gór. Zdejmując w namiocie buty do nart, spostrzegłem, że zaczął pękać czubek w lewym bucie. Na razie nieznacznie, ale wiedziałem, ►



Wypoczynek podczas marszu



że kwestią czasu jest to, kiedy pęknie cała i buty nie będą nadawały się do dalszego marszu. Do tego w lewej skarpecie zrobiła się dziura. W czasie, kiedy gotowała się woda na kolację, wziąłem się za cerowanie. Przyszyłem łatę z polaru. Na razie musiało to wystarczyć.

Rankiem było jeszcze zimniej

W naszych termometrach skończyła się skala, więc nie wiedzieliśmy, ile jest dokładnie stopni. Przed zwinieniem obozu spróbowaliśmy jeszcze raz zadzwonić z telefonu satelitarnego. Dzień wcześniej Wojtek naładował baterie i całą noc wraz z telefonem trzymał je w śpiworze. Udało się wykonać dwa połączenia po kilka minut, zanim baterie całkiem się wyczerpały. Był to ostatni raz, kiedy skorzystaliśmy z telefonu, gdyż przestał działać i do końca wyprawy nie udało się go nam ponownie uruchomić. Wokół obozu widać było dużo śladów wilków. Po przejściu kilometra natknęliśmy się na pozostałości karibu, upolowanego w nocy przez wilki,

Dość mocno odmroziliśmy sobie policzki i nosy, ale nie zważaliśmy na to, gdyż Eskimosi też mieli poodmrażane twarze.

z którego pozostały jedynie nogi, wnętrzności i kawałek kręgosłupa. Po śladach udało się stwierdzić, że wilków było kilkanaście. Koło południa zrobiło się ciepło. Temperatura podniosła się do -20, niestety niebo spowiły chmury i zaczął sypać śnieg. Widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów. Zaczęliśmy schodzić dolinami, które dawniej wypełniały lodowce, dlatego musieliśmy lawirować między morenami. Wieczorem temperatura znów spadła do -30, a silny wiatr utrudniał rozbięcie namiotów. Udało się nam znaleźć kawałek równego terenu z w miarę przewianym śniegiem,

gdzie rozbiliśmy nasz jedenasty obóz. Przed snem zrobiłem namiar GPsem i okazało się, że dystans między tym a poprzednim obozem w linii prostej wyniósł 19 kilometrów, czyli przeszliśmy, co najmniej 23 km. Był to najdłuższy dystans, jaki udało się nam do tej pory pokonać jednego dnia.

Nazajutrz widoczność była gorsza. Nadal padał śnieg i wiał silny wiatr, przez co namioty były po nocy dość znacznie zasypane. Mimo śnieżycy sprawnie zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy dalej. Po drodze minęliśmy porzucone sanie, wokół których leżały porzucane skóry karibu. Po śladach widać było, że skóry zostały powyciągane z sań przez wilki. Na saniach znaleźliśmy radio UKF, sztucer oraz kurtkę puchową. Po dokładnych oględzinach zorientowaliśmy się, że wszystko to jest

własnością Sima. Spostreśliśmy, że sanie miały pęknięte płozy i prawdopodobnie dlatego zostały porzucone. Kilka kilometrów dalej, przy zbo-

czu góry spotkaliśmy kolejny porzucony skuter. Widać, że stał w tundrze od dawna, gdyż spod śniegu wystawała tylko kierownica i owiewka. W tym miejscu musieliśmy kolejny raz zmienić narty na inne, z założonymi fokami. Zbocze góry, przez które musieliśmy przejść, było zbyt strome, aby pokonać je na zwykłych nartach. Foki, które nakleja się na spód nart, są długimi pasami materiału z niewielkimi, sztywnymi włosami ułożonymi zgodnie z kierunkiem marszu, dzięki czemu narta bez problemu przesuwa się do przodu, ale się nie cofa. Ułatwia to bardzo podcho-

dzenie od góry. Pokonawszy wzniesienie, zaczęliśmy schodzić dość stromym zboczem do fiordu. Było to trudniejsze niż podejście, gdyż musieliśmy bardzo uważać na sanie, aby się nie przewracały i nie zjeżdżały za szybko, co mogłoby grozić uderzeniem w nogi. Koło południa dotarliśmy do początku fiordu.

Schodząc w dół, spotkaliśmy Eskimosów, którzy jechali nad pobliskie jezioro na połów ryb oraz polowanie na karibu i foki. Po dwóch godzinach doszliśmy do zamrożonego jeziora położonego nieopodal brzegu zatoki. Na drugim brzegu, przy zboczu góry, spostreśliśmy chatę myśliwską, do której postanowiliśmy się udać na nocleg. Nieopodal chaty minęliśmy na jeziorze spotkanych wcześniej Eskimosów, którzy łowili ryby przy użyciu sieci wpuszczonej pod lód. Sieć umieścili pod lodem po wcześniejszym zrobieniu dwóch przerębli w półtorametrowej grubości lodzie i przeciągnięciu między nimi linki, do której końca przywiązali sieć. Kiedy dotarliśmy do chaty, okazało się, że jest tam już kilka osób, ale i dla nas znalazło się miejsce. Po zachodzie słońca wrócili rybacy z połowu, przywożąc kilka sztuk łososia arktycznego, zwanego w języku Inuitów Iqalue – Księciem Ryb. Pokroili je na kawałki i każdemu dostała się spora część. Zjedliśmy je na surowo, gdyż były świeże i nie zmrożone. Dowiedzieliśmy się także, że lód na zatoce Camberland Sound był połamany i większa jej część to otwarta woda, nie ma więc możliwości dotarcia tą drogą do Pangnirtung. Eskimosi stanowczo odradzili nam próbę przejścia zatoki, tłumacząc, że nawet najbardziej doświadczeni myśliwi po zaopatrzenie jeżdżą do Iqaliut, chociaż jest tam dwa razy dalej niż do Pangnirtung. Postanowiliśmy z Wojtkiem, że nazajutrz zostawimy sprzęt w chacie, a sami bez obciążenia pójdziemy do końca fiordu po zamrożonym morzu, aby samodzielnie przekonać się, jak wygląda sytuacja. Kilku Eskimosów rozbiło namiot przy chacie i w nim położyło się spać. My, wraz z kilkoma innymi, na nocleg zostaliśmy w chacie. Pierwszy raz od kilku dni siedzieliśmy w ciepłe, gdyż przez cały wieczór chata ogrzewana była przez kuchenki. Dopiero teraz zaczęliśmy z Wojtkiem odczuwać, że dość mocno odmroziliśmy sobie policzki i nosy, ale nie zważaliśmy na to, gdyż Eskimosi też mieli poodmrażane twarze. Przed snem wziąłem się jeszcze za szycie łapawic, ponieważ rozpruły się kolejne szwy.

Tekst i zdjęcia: **Norbert Pokorski**

Dokończenie w następnym numerze Biuletynu.